№ 25. Warszawa, dnia 8 (20) Czerwca 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak Tygodnika Mód jak i Przyjaciela Dzieci, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 5, w ciągu roku wydanych zostanie 12. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

WIKTOR HUGO.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

Po tryumfie Hernaniego, romantyzm zapanował stanowczo. Zwolennicy nowej szkoły dumnie podnieśli głowę. Jeden z najzagorzalszych, słynny później poeta i krytyk Teofil Gautier, w obrazie pełnym życia, uwydatnia ich postacie, ich strój ekscentryczny, ich zwyczaje, ich schadzki po mansardach, gdzie wieczorami odwiedzali się wzajem.

Każdy z nich przemyślał jakby nadać sobie najoryginalniejszą postać. Ten wyglądał jak wyjęty z ram portret Welasqueza, tamten jak indyjski bohater Sakuntali, ów jak średniowieczny rycerz albo Trubadur.

Sam Gautier przywdział czerwony kaftan Hernaniego, zapuścił długie włosy podobne do lwiej grzywy. Wesołeż to były ich schadzki. Jedni powtarzali sceny z Szekspira, drudzy ustępy z Korsarza albo z Lary; wszyscy razem odgrywali Hernaniego lub też Kromwela. Szybko upływały godziny, a natrętny zegar nie ostrzegał o ich przebiegu, zegara bowiem nie było na poddaszach, miejsce jego zastępował trupi czerep, postawiony na kominie, między dwoma wazonikami kwiatów. Ten czerep ostrzegał, że czas mija. Służył on jeszcze do innego użytku; młodzież spełniała z niego libacye na cześć mistrza, naśladując Bug Yargala, który jak wiadomo, używał takiej czaszy.

Naczelnik szkoły, Wiktor Hugo, najstarszy z tego grona, liczył bowiem lat dwadzieścia ośm, od dawna już ojciec rodziny, nie należał do owych schadzek, których był jednak duszą. Postacią różnił się też od młodych adeptów swoich. Zobaczmy jak go maluje Gautier.

„Na pierwszy rzut oka uderzało w poecie czoło majestatyczne, prawdziwie posągowe, które jakby fronton z kararyjskiego marmuru, wieńczyło rysy oblicza, pełne słodkiej powagi. Na tem szerokiem czole, dość było miejsca na wypisanie najwznioślejszych myśli, na pomieszczenie złotych i wa-

wrzynowych wieńców, jakoby na czole Cezara. Widziałeś na nim wybity znak potęgi. Ocieniał je włos długi, jasno brunatny, nie miał Hugo ani wąsów, ani brody, ani faworytów. Na blade jego lica, rzucały dziwny blask oczy płowe, podobne do źrenic orlich. Usta kształtnie zarysowane, spuszczone nieco w kątach, odkrywały dwa rzędy białych zębów. Ubiór poważny, czarny, ożywiony kołnierzykiem śnieżnej bieli, odwiniętym na krawat, nadawał mu postać *gentelmana* angielskiego raczej niżli poety, niktby w tym wytwornym *gentelmanie* nie odgadł naczelnika szkoły tych brodatych i grzywiastych wartogłowów, którzy byli postrachem wygolonych ludzi porządku. Wielbiciele i naśladowcy Huga, chylili przed nim głowę jak Gwebry przed słońcem; jednego tylko nie mogli mu przebaczyć: prostota w ubiorze, dziwnie skandalizowała tych zapalonych romantyków."

Rok 1830 stanowi przełom w duchu Wiktora Hugo. Syn Wandejki przypomniał sobie, że był zarówno synem żołnierza, jednego z tych dzielnych, którzy z bohaterem wieku tak podnieśli chwałę Francyi. Zniewagi jakich byli nieraz ofiarą marszałkowie Napoleona, dobodły do żywego poetę. W szlachetnem uniesieniu wyśpiewał odę na cześć kolumny Vendome. Dajemy ją w przekładzie:

Gdy budował zamachem szerokiej prawicy,
Na barkach Europy, kornej służebnicy,
Ten pilastr arcy wspaniały,
Na którym miał się wesprzéć pyszny tron ol-
[brzyma,
Ten pilastr nieśmiertelny, co wieki przetrzyma
Lany ze spiżu i chwały.

Gdy budował go na to, aby w czasach grozy,
Wstrzymać tryumfatorów rozpędzone wozy,
W wojnie czy cudzej, czy bratniej,
Aby tego pilastru siła tajemnicza,
Zmiotła gasnącą krasę z bladego oblicza,
Cezarów dziatwy ostatniej.

O! piękny to był widok! Z walecznemi druhy,
Wzdłuż i wszerz zbiegał ziemię pędem zawie-
[ruchy,
A znał swych mężnych imiona!
W zwycięzkiej wciąż pogoni, parł ludy i wodze,
Zbierał działa, jak żeniec rad zbiera po drodze
Kłosy, gdy kośba skończona.

A gdy wracał bohater, plonami do sytu
Zawalał Luwr wspaniały, wykuty z granitu,
I tłum mu klaskał przy wjeździe;
Powrót jego do grodu był wielkim dniem święta,
Witał go lud jak orła witają orlęta,
Gdy z łupem siada na gnieździe.

A on, popychał stopą te kruszcu kawały,
Biegł co żywo do kotła, gdzie szumem kipiały,
Na pomnik z branych dział spiże;
Sam, siłą twórczej myśli wykrzesał dłań modlę,
Pełną garścią w kotlisko jeszcze niewychłodłe
Dorzucał działa znów świeże.

I znowu go na boje rwie zapęd junaczy,
Pod gradem kul ognistych, pod gromem kar-
[taczy,
Zdobywa łupów do syta;
Prowadzi je w tryumfie do francuzkiej Romy,
I znów rzuca do kotła nowe spiżu złomy,
Macie go dość już? zapyta.

Takim był on od młodu: pochylone w szkole,
Nad liczbami wytrwałe pobladło pacholę,
Drgał oręż w dłoni dziecięcej;
Młodzieńcem piramidy zdobył dla zabawy,
Cesarzem urósł w dumę i pragnie dla sławy,
Dokonać jeszcze coś więcej.

Zbudował tę kolumnę ręką Cezarową,
Schwycił wiek, młotem woli przekuł w formę
[nową,
Swą pieczęć na nim wyciska,
Alpy gną grzbiet, gdy rozgrzmią jego wojsk
[pochody,
Rozstępują się Nilu, Renu, Tybru wody,
Słońce Asterlic połyska.

On śladem Emeladów pokrytych lat mrokiem,
Pomału a wytrwale pnie się krok za krokiem,
Na szczeble wszechświata tronu;
Wzrusza niebo i ziemię wieszczych słów potęgą,
Na Arkol rzuca Jenę, Wagram na Marengo,
Na Ossę gruzy Pelionu.
. . . .

W tym czasie poeta rozwinął wszechstronną działalność. Wyobraźnia jego nie spoczywa na chwilę, myśl w coraz nowe przyobleka się formy, a każda z tych form oryginalna, pomnikowa, jakby ulana ze spiżu. W dawniejszych dwóch powieściach „Hanie Islandzkim" i „Bug Yargalu", dowiódł już Hugo, że w prozie zarówno jak w poezyi otworzy nowe widnokręgi literaturze współczesnej. Z lirycznych utworów, wydał podówczas nowy zbiór p. t. „Liście jesienne". Czytamy tu między innemi rzewny poemacik „Dom bez dzieci". Przerażony skonem jednego z drobnych dziatek, poeta zadrżał o te które mu pozostały i z żalem ojcowskim wyśpiewał trwogę swoją. Oto pieśń ta w przekładzie:

Gdy przybędzie do domu z dziecięciem kołyska,
Rodzina się weseli: ten promyk co błyska,
W oczach dziecięcia tak słodki,
Zgania z lic mrok żałoby, nawet plamę sromu!
Rozjaśniają się czoła, drgają ściany domu,
Życiem niewinnej istotki.

Czy Maj zieleni trawy, czy Listopad strąca
Liście z drzew mego sadu, wśród uciech tysiąca,
Życie jak wianek się plecie;
Jasny płomień ogniska weseli nam progi,
Śmiejemy się, drży matka z radości i trwogi,
Gdy stąpać zaczyna dziecię.

Czasami ktoś z nas głownię gasnącą poruszy,
I mówimy o Bogu, o pieśni, o duszy,
Jak w niebo z modlitwą wzlata;
Weszło dziecię i wątek słów w lot się rozrywa,
Uśmiech spoczął na ustach, dziecię, to pieśń żywa,
Modlitwa duszy skrzydlata.

Nocą, gdy myśl wybiega, choć sen zwarł powieki,
Gdy potrąca nam ucho jęk fali dalekiej,
Co w trzcinach drżąca pluskocze,
Niech zorza wschód zrumieni barwami szkarłatu,
Ptaki i spiże dzwonów, zbudzonemu światu,
Dzwonią pobudki urocze.

Dziecię! tyś moją zorzą! przez ciebie zbudzona
Woń kwiatów czarodziejskich bucha z mego łona,
Kiedy cię czuję przy boku,
Dusza moja, las ciemny, z gęstemi drzew sploty,
Szumi słodko dla ciebie, gdy twój promyk złoty,
Błyśnie w tym nocnym pomroku.

Bo z tych ocząt tryskają słodkie miodu zdroje,
Bo te błogosławione jeszcze rączki twoje
W żadne nie wpiły się łono;
Bo twe stopki ziemskiego nie dotknęły błota,
Twe czoło, krętych włosków aureola złota,
Wieńczy wybranych koroną.

Tyś dla nas, ową z arki gołąbką bieluchną,
Twe nożęta po ziemi stąpają leciuchno,
Myśl twa skąpana w lazurze!
Pogodnie ścigasz okiem ten świat tajemniczy,
Bo ciało twe dziewicze i duch twój dziewiczy,
Ziemskie nie tknęły ich burze!

Cudneż dziecię, gdy radość lica mu zapali,
Gdy wybiegnie przez one usteczka z korali
Uśmiech i pogwar pustoty,
Jego wiara tak pełna i ufność tak szczera,
Gdy młodziuchną duszyczkę do życia otwiera,
Usta do słodkiej pieszczoty.

O Panie! Twe wyroki niech ustrzegą, Boże,
Mych braci, krewnych, druhów, tych co ostrzą
[noże,
By mej krwi stoczyć ostatek,
Niech nie widzą ci nawet co łask Twych nie warci,
Pustej klatki bez ptaka, bez pszczół pustej barci,
Pustego domu bez dziatek!

Przy huku dział, podczas burzy, która pochłonęła dawną monarchią, Wiktor Hugo rozpoczął historyczną powieść p. t. „Notre Dame de Paris". Przez dwa miesiące zagrzebał się cały w starych kronikach, nie wychodząc z domu na chwilę. Odmalował Paryż na tle XV-go wieku, w najdrobniejszych szczegółach, przedstawił ówczesne obyczaje, zabobony, prawa, sztuki, rzemiosła, jednem słowem całą cywilizacyą tej epoki. Oprócz złowrogiej postaci Ludwika XI-go, wszystkie osoby wprowadzone w ruch dramatyczny, są utworem potężnej wyobraźni.

Powieść nie podobała się zrazu, ogół mienił ją nudną i rozwlekłą. Krytyka osądziła ją nieprzychylnie. Wyższe umysły jednak, odczuły arcydzieło. Montalembert zrozumiał głęboką myśl chrześciańską uwydatnioną w postaci owego Quasimoda, najczystszego ideału miłości i poświęcenia, ukrytego pod osłoną potwornej brzydoty fizycznej.

Wbrew krytyce, dzieło zdobyło wkrótce wielki rozgłos. Wydania mnożyły się bezustanku. Wiktor Hugo zatryumfował w powieści, jak niedawno w dramacie. Geniusz jego zajaśniał całym blaskiem.

Dramata Wiktora Hugo, pojawiające się odtąd z każdym rokiem na scenie, z jednej strony budziły zachwyt, posuwały do szału; z drugiej wywoływały protestacyą nie samych już tylko klasyków. Smak powszechny oburzał się na ten nawał zbrodni, jaki poeta wywłóczył z dziejów i rzucał w oczy tłumowi. W każdym z tych dramatów, w „Marion Delorme", „Lukrecyi Borgia", „Maryi Tudor" i „Angelim", błyszczą drogocenne klejnoty poezyi, zagrzebane w steku bezeceństw, w każdym uderza styl oryginalny, żywy, zaprawny jaskrawym kolorytem, w każdym słowo dźwięczy jak ulane ze spiżu. Śmiałe antitezy, wywołują potężny efekt. Taż sama siła widoczna w „Ruy Blazie" i „Burgrafach". Najgwałtowniejszą protestacyę wywołał dramat p. t. „Król się bawi", tym bowiem królem to Franciszek I-szy, równie wielki w chwilach klęsk jak i w chwilach tryumfów, ten król bohater, co pokonany pod Pawią, wypuszcza

jąc z rąk poszczerbiony, krwią ociekły oręż, wyrzekł pamiętne słowa: „Wszystko stracone prócz honoru!"

Takie sponiewieranie tradycyi, która uwieńczyła chwałą zwycięzcę z pod Marignan, dobodła do żywego Francuzów. Przykre to wrażenie, zatarł jednakże Hugo nowemi dziełami tak wierszem jak i prozą, a mianowicie, zbiorem poezyi pod tytułem „Światła i cienie".

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Cześć szpalerowi.

Cześć szpalerowi! jego spokój tajemniczy
Łagodzi myśl wzburzoną i natchnienie zsyła,
W cieniu drzew jego nieraz panieneczka miła,
Zbłąkanych szuka rymów, lub sylaby liczy.

Cześć szpalerowi! on-to w słocie czy w upale,
Przygarnia nas pod skrzydła swoje szmaragdowe;
On z wiosną się zamienia w koncertową salę,
Gdzie gwar śpiewaków leśnych głuszy nam rozmowę.

Cześć szpalerowi! duszne opuszczam pokoje,
By pogrążyć istotę w samotne zakątki,
Albo z duszą pokrewną gwarzyć tam... we dwoje,
I zapleśniałe życia przewietrzać pamiątki,
Ah! tylko nam komarów przeszkadzają roje,
I zdeptanych ślimaków pozostałe szczątki.

Emilia.

KLEMENS JANICKI.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

PRZEZ

Michała Jezierskiego.

(Dalszy ciąg.)

Z a j a z d.

Powrót gospodarza do domu był zawsze chwilą uroczystą, powitania były serdeczne a podczas nieobecności starano się wszystko utrzymać w porządku i ładzie przynależnym.

Wysoki szacunek i miłość dla głowy domu, wyradzała troskliwość o jego dobro. Powrót z Piotrkowa Jakóba Krasickiego, odznaczył się serdecznością rodziny, sług i domowników. Ziemianin ówczesny, w ciasnem zagrodowem swem kółku, umiał streścić swe życie i w niem znaleźć wszystko co zapełnia serce, umysłem zapobiegliwym i pracą w spełnianiu obowiązków ojca rodziny, dbałego o dobrobyt, o przychylność sąsiadów i sług przywiązanie. Ztąd wyrosło przysłowie: „że wszędzie dobrze a w domu najlepiej". Dziś nie poprzestajemy na tem szczęściu i spokoju domowym, ciasno nam pod własną strzechą. Nieumiejąc zapełnić życia pracą, targając węzły rodzinne, potrzebujemy szukać rozrywek, których u siebie znaleźć nie umiemy, zaniedbujemy powinności rodzinnych, gospodarskich, obywatelskich, rozpraszamy spuściznę ojców naszych, a wywożąc nasze pieniądze zagranicę, kupujemy często za nie zepsucie i oziębłość dla własnego kraju.

Krasicki po serdecznem powitaniu, obejrzał gospodarstwo, wszystko znalazł w należytym porządku i z zadowoleniem powtarzał:

— Wszędzie dobrze a w domu najlepiej.

Po kilku dniach nadjechał sąsiad Drohojewski. Pod świeżem wrażeniem, rozmowy nie mogły być inne jak o sejmie Piotrkowskim. Drohojewski podkręcając wąsa rzekł:

— Zwyciężyliśmy, kochany sąsiedzie, przekonano się, że siła w szlachcie.

— Tak, odrzekł Krasicki, zwyciężyliśmy, ale i nas pobito, opozycya panów niedozwoliła żadnego z wniosków utrzymać i najzbawienniejsze chęci króla poszły w niwecz. Rozdwojenie zawsze przynosi szkody, czy pan, czy szlachcic, powinien mieć na pierwszym względzie dobro Rzeczypospolitej. Waśń nieprzynosi dobra, dlatego niebardzo zadowolniony wróciłem z Piotrkowa.

— Choć ten sejm nic nie uradził, przerwał Drohojewski, to na drugim coś się postanowi, ale niedopuściliśmy plebejom wejść do naszego grona. Obrona zacności szlacheckiego klejnotu, to pierwszym obowiązkiem stanu rycerskiego.

— A przytem, rzekł Krasicki, zrobiliśmy przykrość wojewodzie Kmicie, przecież to pan zacny, i ma wielkie zasługi w Rzeczypospolitej.

— Co wam dbać, sąsiedzie, o wojewodę? Nie potrzebujesz jego protekcyi, jak on jest panem na Wiśniczu, tak my na Siecinie.

— Ależ mój sąsiedzie, ja jestem za pokojem, za zgodą.

— Przecież, gdy cię obdzierają, czy z przywilejów, czy z majątku bronić się musisz.

— Tak, mój sąsiedzie, ale drogą legalną, prawną.

— U was nie krew ale woda w żyłach płynie.

Jużby przyszło do zwykłych sporów, po których nastąpiłaby zwykła zgoda, gdyby nie ujrzano przez okno jeźdca pędzącego cwałem, który przy samym ganku się zatrzymał. Gdy obaj zaciekawieni do drzwi się rzucili, stanął przed nimi rządca przyległej wioski, blady, niemogący słowa przemówić.

— Co się tam stało? zapytał Krasicki, czy pożar?

— Gorzej, odrzekł drżącym głosem rządca, gorzej, bo napad, zajazd; wygnano wszystkich oficyalistów, papiery zabrano, rachunki spalono, klucze odebrano i pana wojewodę ogłoszono dziedzicem włości.

— A to wiolencya! wykrzyknął Krasicki, sprawa kryminalna, zanieść manifest, wydać pozwy!

— To później, rzekł Drohojewski, teraz trzeba gwałt odeprzeć gwałtem, *Beatus qui tenet*, raz włość zajęwszy, będzie kpić wojewoda z waszego procesu. Trzeba wprzód tych szczurów wygnać z komory.

— Ale na razie to się nie da załatwić.

— Ty byś się sąsiedzie cały miesiąc wybierał, a tu jednej minuty tracić nie można; biorę wszystko na siebie, pachołków i oficyalistów twoich uzbroję i w parę godzin tę hołotę z twego majątku wypędzę.

— Rób co chcesz, przyjacielu, bo ja głowę tracę.

Drohojewski wybiegł, opatrzył stajenne i folwarczne konie, ze dworu i lamusu zebrał szable, rusznice, zwołał pachołków i oficyalistów i gdy Krasicki przez całą godzinę rozpytywał rządcę o szczegóły zajazdu, Drohojewski już z dwudziestu uzbrojonemi siedział na koniu i podniósłszy szablę w górę i krzyknąwszy: za mną bracia, ruszył cwałem, a zanim cała gromadka w kłębach kurzu zniknęła.

Krasicki chodził po izbie zadumany, nienawidząc gwałtów, ciesząc się spokojem i porządkiem w domu, chciał-by tenże spokój widzieć i w całej Rzeczypospolitej. Bolał iż dygnitarz, pan z panów, oświecony i pełen zasług, daje z siebie tak gorszący przykład, co więcej to smuciło niż straty przewidywane. Szukał w myślach powodu takowego gwałtu, należną sumę oddawna zapłacił, wszystkie wymagania prawne dopełnił, sporów granicznych z wojewodą nie miał, cóż go skłonić mogło do takich wiolencyi?

— To nic innego, rzekł, tylko odwet i zemsta za sejm piotrkowski.

Gdy tak u siebie Krasicki konktuje, Drohojewski ze swoim hufcem dojeżdża do dworka zajętej włości. Nieudało mu się napaść niespodzianie, bo Szczerba i Pelka przewidując odwet, porozstawiali czaty, które o przybywających zawiadomiły. Spostrzegłszy to Drohojewski przed wojną udał się do dyplomacyi, mówił do zgromadzonych na dziedzińcu najezdników, że przybywa nie jako rozjemca sporów między Kmitą a Krasickim, ale jako szlachcic i obywatel Rzeczypospolitej, oburzony zgwałceniem prawa i nieuszanowaniem własności, co doprowadzić może do rozlewu krwi szlacheckiej, która do obrony kraju winna być użytą.

— Mości Drohojewski, odrzekł Szczerba. Takie mowy dobre na sejmie, ale my tu nie sejmikujemy. Zajęliśmy tę włość, bo wojewoda rości do niej prawo, żadna adwokatura ją nam nie wydrze a tym bardziej Siecińskie szerepetki. Wracajcie do swoich domów, lub jedźcie do stu dyabłów albo gdzie się wam podoba!

— Ja was wprzód do piekła zapędzę, precz ztąd hałastro! zawołał Drohojewski i krzyknął do swoich:

— Bracia! wypędźmy tych zbójów. Rzeczpospolitę od takiego śmiecia oczyścić należy.

Pogardliwe te słowa zapaliły gniewem najezdników.

Jan Rozberski, Odaliński obnażyli szable, Szczerba rzucił się na Drohowskiego, lecz ten go silną pięścią odtrącił, Kometski z Wojskowskim z zebraną drużyną napadli na uzbrojonych pachołków z Siecina, rąbano się zajadle.

— Na szlachtę sprowadzono motłoch! krzyknął Szczerba, was nie szablą lecz kijem bić potrzeba.

— Na was nie motłoch, groźnie zawołał Drohojewski, trzeba sprowadzić katów, aby was pod pręgierzem ocwiczyli jak złoczyńców.

Rzucili się na siebie, szable świsnęły w powietrzu. Drohojewski zawołał.

— Strzeż się Szczerbo, bo ci pysk wyszczerbię!

I całą siłą palnął go po twarzy, krew go oblała; Pelka rozjuszony widokiem krwi przyjaciela, podniósł szablę i niespodzianie uderzając na Drohojewskiego, tak silnie płatnął go w głowę, iż na miejscu położył trupem.

Widok ten jednych przeraził, drugich opamiętał. Schowano szable do pochew i każdy z przestrachem cisnął się spojrzeć na martwe zwłoki. Gniew zastąpiło współczucie, odwagę opanowała bezwładność i przed chwilą obie zajadłe strony, skojarzyły się uczuciem zgrozy, wspólnej boleści.

Szlachta zwykle lekko ważyła zadaną bliznę, kresa na czole była chlubną ozdobą, wyzwać na rę-

kę było szlacheckiem rzemiosłem, lecz śmierć zadać bratu, w jakichkolwiek warunkach, było zbrodnią. Pachołkowie złożyli na wozie zwłoki Drohojewskiego, z przodu i z tyłu otoczyła go przed chwilą walcząca gromadka i zwolna w ponurej ciszy postępowała drogą wiodącą do Siecina. Gdy przybyli pod ganek dworu, Krasicki domyślając się nieszczęścia, wyszedł i z wzrokiem osłupiałym długo patrzał w twarz skrwawioną przyjaciela, ryknął głosem rozpaczy, rzucił się na martwe ciało i omdlał. Gdy go ocucono, wykrzyknął:

— Tyś zginął w mojej sprawie, poprzysięgam ci przyjacielu, że się pomszczę krwi twojej.

Gdy wieść doszła do Wiśnicza o zabiciu Drohojewskiego, uczucie boleści i gniewu zmieszało się w sercu wojewody. Rozkazał przywołać do siebie wszystkich uczestników zajazdu, oświadczył im, iż trzyma na swym zamku sług i dworzan, a nie zbójów. Kazał Wydżdże roczny żołd wypłacić i wydalić z zamku a Pełkę uwięzić. Wojewoda nie mógł wynaleźć środka uspokojenia, zdało mu się, iż gdy na mocy władzy starościańskiej zetnie łeb Pełce, kara słusznie wymierzona oczyści jego sumienie.

Najcięższe były noce, powiek zmrużyć nie mógł, trup Drohojewskiego z rozpłataną głową stał mu ciągle przed oczyma, przenosił się z komnaty do komnaty, z łoża do krzesła, lecz nigdzie odpoczynku i snu znaleźć nie mógł. Zdało mu się, że krwią ma zbroczone ręce, że widzi grożącą trupią rękę Drohojewskiego, że słyszy jęk jego żony i dzieci: uciekał od tych widziadeł, lecz one wszędzie za nim goniły.

Pełka siedział w więzieniu, znany nam Grześ, był wyznaczony do noszenia mu żywności. Chociaż wzbroniono mu rozmawiać z więźniem, jednak gadatliwy i ciekawy chłopak, nie mógł się wstrzymać, od rzucenia zrazu słów kilku, później od udzielenia nowin tyczących się jego sprawy, a w końcu od współczucia, które miał dla wszystkich awanturników i łotrów. Grzesio był sprytny i dobrego serca, raz zapytał go Pełka:

— Mój Grzesiu, powiedz mi co myślą ze mną zrobić?

— Nie wiem dobrze, ale podobno... i niedomówiwszy Grześ pociągnął palcem po szyi.

— Co, co, powiesić? zapytał Pełka przerażony.

— Ej! nie! podnosząc ramion zaprzeczył Grześ i nachylając się dodał ciszej: Mają panu łeb uciąć...

Pełka zrobił wielkie oczy i nie mógł słowa przemówić. Wreszcie wyjąkał:

— To być nie może.

— Ale, nie może być, mruknął Grześ. Przecie słyszałem jak pan wojewoda mówił: jak łeb spadnie to sprawa skończy się...

— Ale to może nie mnie dotyczyło?...

— No, przecie nie mnie, a jeszcze słyszałem jak pan wojewoda mówił, że trzeba go będzie rozumu nauczyć.

— Tak mówił?

— A jużcić! a ja dziwiłem się, jak to nauka pójdzie bez łba na karku?

— Ah! Grzesiu co tu robić? zawołał zrozpaczony Pełka.

— A cóż, uciekać i jużci.

— Uciekać, powtórzył Pełka, jak tu uciekać kiedy kraty żelazne a ja nie Samson.

— Ba! a pilnik od czego? zapytał Grześ.

— Oh! gdybym go miał.

— Ale ja go mieć mogę, mruknął chłopak.

— Ah, Grzesiu kochany, czy na prawdę?

— Ej! mruknął Grześ z gniewem, ja z takich rzeczy to figlów nie lubię stroić, i wydobył pilnik z kieszeni.

Pełka rzucił się mu na szyję i po stokroć go całując wołał:

— Tyś moim zbawcą, wdzięcznym ci będę do śmierci.

W parę dni powstał wielki ruch w zamku, dowiedziano się o ucieczce Pełki. Wydżga czynił najściślejszą indygacyą, wojewoda był zrozpaczony, myślał że głową Pełki spłucze wylaną krew Drohojewskiego, i dowiedzie swej niewinności. Rozkazał też wysłać gońców na wszystkie strony, przyrzekając sowitą nadgrodę za pojmanie zbiega. Rozbiegli się służalce po wszystkich szlakach, wojewoda z niecierpliwością oczekiwał ich powrotu, pocieszał się nadzieją, że Pełka ujętym zostanie; lecz w kilka dni służalce wrócili i oznajmili, że wytropiwszy ślady, gonili za nim aż do granic Wołoszczyzny, a tam im zniknął: wojewoda wpadł w taki gniew, iż myślano, że oszalał. Później zamknął się w swej komnacie i nikt progu nie śmiał przestąpić, prócz domowego kapelana. Co się działo przez ten czas w komnacie wojewody, jakie były rozmowy, czy może spowiedź, Bogu tylko wiadomo. Po kilku dniach wyszedł Kmita z mniej groźną twarzą, tylko cichy smutek rozlewał się na jego obliczu. Spotkawszy Maryckiego przywołał go do siebie, kazał mu usiąść i po krótkiem milczeniu rzekł:

— Bóg który widzi wszystkie skrytości naszego serca, wie żem się nie przyczynił do rozlewu krwi bratniej, zgrzeszyłem tylko tem, iż dałem powód do zbrodni.

— Nie dziw, że ten straszny wypadek wstrząsnął sumieniem wojewody, odrzekł Marycki, lecz nikt o wspólnictwo w zbrodni nie może go posądzić.

— A żona i dzieci, mój Marycki? Czyż ból i rozpacz może być sprawiedliwym sędzią? W zapalczywości swej wszystkiemu łają, nawet Bogu bluźnią. Ty nie wiesz, mój Marycki, jaki mi żal tej biednej rodziny; pół mego majątku bym jej oddał na ułagodzenie jej boleści, ale znam nasze polskie matrony, ze wzgardą odepchnęłaby moją ofiarę, jako Judaszowskie srebrniki, które nieprzyjęto do kościelnej skarbony. A jednak wiem, że są blizcy ruiny, chciałbym im dopomódz i niemogę, chciałbym choć przynieść spokój materyalny gdy udręczeń tylu serc złagodzić nie jestem w stanie.

— Masz słuszność wojewodo, rozpacz wszystkich oskarża, a oskarżanie choćby niewinnego zawsze boli. Dobre twe serce chciałoby im ulżyć, a do dania tej ulgi ja mam środek.

— Mów poczciwy Marycki, będziesz moim zbawcą.

— Drohojewski będąc młodzieńcem miał przyjaciela, razem kształcili się w szkołach, później dworowali razem przy wojewodzie Trockim Zebrzydowskim, jeden drugiego w potrzebie ratował, kochali się jak bracia, a tym przyjacielem był Antoni Orda, który dwa razy Drohojewskiemu uratował życie. Po okropnem zabójstwie wojewody przez Michała Glińskiego, dworzanie się rozpierzchli i dwaj przyjaciele rozłączyć się musieli. Orda udał się do swej rodziny na Litwę, a Drohojewski po śmierci ojca objął majętność na Czerwonej Rusi. W czasie utarczki hetmana Firleja z Glińskim na Litwie, dwór Ordy zrabowano, a włość spalono. Orda pozostał w nędzy. Drohojewski dowiedziawszy się o nieszczęściu przyjaciela, który mu dwa razy życie ocalił, zebrał co miał, dopożyczył drugie tyle i pożyczką znacznej sumy powetował straty przyjaciela. Lecz mimo pracy, Ordzie źle się wiodło, różne nieszczęścia go prześladowały i nigdy nie był w stanie uiścić się z długu. Drohojewski o swej należności zapomniał, nie pozwolił o niej wspominać, tak minęło lat dwadzieścia. Wynajdę więc Ordę, wręczę mu pożyczoną kwotę, która z dwudziestoletnim procentem wyniesie poważną sumę. Powie, że się dorobił majątku i gdy się nie mógł uiścić przyjacielowi, składa należność w ręce pozostałej wdowy i dzieci.

— Uszczęśliwisz mnie, mój Marycki, gdy to dokonasz, może tem uspokoję moje sumienie. To mnie gryzło, iż ode mnie żadnej pomocy by nieprzyjęto, a Bóg przyjmie me dobre chęci, Ordę osobno za tę uczynność wynadgrodzę. Jutro zatem jedź odszukać Ordę, weź z mojej kasy potrzebną sumę a im prędzej to dokonasz, tym prędzej przyczynisz się do mego spokoju i do mojej dla ciebie wdzięczności.

Wojewoda uradowany ucałował Maryckiego, obu łza zabłysła w oczach: jedna była łzą radości spełnionego obowiązku, druga rozrzewnieniem do którego nas pobudza każdy dobry i szlachetny uczynek.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DYONIZA.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

PRZEZ

ALEKSANDRA DUMASA (syna)

PRZEKŁAD

Bronisławy K.

(Dalszy ciąg.)

SCENA V.

Dyoniza, Andrzej.

Andrzej. Ojciec i matka pani, upoważnili mnie do tej rozmowy i pozwolili mi powiedzieć, że cię kocham, kocham całem sercem mojem i że od dawna żyję tylko myślą o tobie! Rodzice pozostawiają pani wolną wolę; od ciebie więc tylko rozstrzygnięcie mojego losu zawisło!

Dyoniza. Wiedziałam już o miłości pana.

Andrzej. Matka podobno mówiła ci o tem przed chwilą.

Dyoniza. Wiedziałem pierwej jeszcze nim matka mi o tem mówiła. Pomimo całej ostrożności i delikatności z pańskiej strony, nie mogłeś uczuć swoich ukryć przedemną. Czułam, że jestem kochaną i szanowaną przez człowieka uczciwego i prawego, a pewność ta czyniła mnie dumną i szczęśliwą zarazem.

Andrzej. A więc, kochałaś mnie także trochę... w tajemnicy.

Dyoniza. Jeżeli kochać jest-to uznawać i podziwiać wzniosłość uczuć i szlachetne dążenia mężczyzny, wynieść go w sercu i myśli wyżej nad innych i być gotową, bez żadnej nadziei nagrody, poświęcić mu każdą chwilę życia, a nawet śmierć ponieść, aby mu oszczędzić najmniejszego cierpienia; jeżeli to nazywa się kochać, to ja kocham cię

panie i nigdy chyba mężczyzna nie był silniej, gorącej kochany! Tyś nas przytulił, tyś nas wybawił z nędzy i rozpaczy, ty osłoniłeś nas przed pogardą szczęśliwych, a zniewagą złych ludzi! O! tak, ja cię kocham i mówię ci to odrazu, ponieważ mnie o to pytasz. Gdybym umarła dziś, a nikt nie wie czy dożyję wieczora, umierałabym z rozpaczą w sercu, że nie dowiedziałeś się o mojej miłości.

Andrzej. A więc będziesz moją żoną?

Dyoniza. Nie, nigdy!

Andrzej. Nigdy! A to dlaczego?

Dyoniza. Bo należę do rodzaju tych kobiet, które można kochać ale nie poślubiać i dlatego za mąż nigdy nie wyjdę. Podajmy sobie ręce, spojrzyjmy sobie w oczy, abyśmy wyczytać mogli co się dzieje w głębi serc naszych i pozostańmy dobrymi przyjaciołmi, braćmi, który w każdem zdarzeniu wzajemnie liczyć mogą na siebie. Czy pan zgodzisz się na to?

Andrzej. Tak więc silnie kochałaś tego Fernanda?

Dyoniza. Oczywiście, ponieważ nie czuję się w prawie poślubienia innego.

Andrzej. I kochasz go jeszcze?

Dyoniza. Ah! nie!

Andrzej. Wiedziałem o tej miłości, osądź więc sama jak potężnem musi być moje dla ciebie uczucie, jeśli ci tę miłość wybaczam.

Dyoniza. Przebaczenie! otóż mimowoli ciśnie się panu na usta wyraz, który wiecznie ciężyłby na naszem szczęściu, gdybym była tak szaloną, że uwierzyłabym w szczęście! Wyraz ten, rozszerzył znowu przestrzeń, jaka rozdzielała nas przed godziną jeszcze i którą przebiegłam zbyt szybko o ile się zdaje. Przebacz mi, to jedyna rzecz którą masz mi do przebaczenia, panie hrabio; żegnam cię...

Andrzej. Ah! nie oddalaj się, błagam cię! Masz dla mnie tylko wdzięczność i przyjaźń; a z temi uczuciami możesz śmiało pozostać obok mnie, nie będzie to dla ciebie rzeczą niebezpieczną ani przykrą. Zostań zatem w tym domu obok ojca i matki.

Dyoniza. Siostra pana wyjeżdża jutro, z jakiejże racyi miałabym pozostać, kiedy nie będzie już panny Marty, zwłaszcza po naszej dzisiejszej rozmowie?

Andrzej. Marta już nie wyjeżdża, pozostanie tu aż do chwili swojego zamążpójścia, a gdy już będzie po ślubie, ja wtedy wyjadę i to na bardzo długo.

Dyoniza. Siostra pana wychodzi za mąż?

Andrzej. Tak, za Fernanda.

Dyoniza. Za pana de Thauzette?

Andrzej. Ależ tak, tak.

Dyoniza. I pan zgodziłeś się na to? Na jakiejże zasadzie, jeśli wolno zapytać?

Andrzej. Teraz ty z kolei wybacz mi; kochałem cię tak silnie... a ponieważ chciałem za jakąbądź cenę dowiedzieć się całej prawdy o tobie i że on jeden tylko mógł mnie w tym względzie objaśnić, zapytałem go więc pod przysięgą... w obec jego matki... dając mu zarazem najświętsze słowo honoru, że ani ty, ani nikt na świecie wiedzieć o tem nie będzie, zapytałem go, czy może mi przysiądz...

Dyoniza. O! powiedz pan... czy może przysiądz, że nie był nigdy moim kochankiem.

Andrzej. Tak.

Dyoniza. Cóż dalej?

Andrzej. Przysiągł.

Dyoniza. A! nędznik! poznaję go dobrze.

Andrzej. Co chcesz przez to powiedzieć?

Dyoniza. To, że chciał ci ukraść siostrę i majątek zarazem; chciał wydrzeć wam obojgu szczęście całego życia, spokój i godność osobistą. Pan de Thauzette skłamał, skłamał bezczelnie i mniemał zapewnie, iż spełnia czyn rycerski. Kłamstwo takie nazywają honorem ci mężczyźni, którzy bez litości depczą honor kobiety. Ah! dopóki szło tylko o mnie, mogłam tłumić moją tajemnicę w głębi serca, mogłam się poświęcić nie mówiąc ani słówka; tak jak to uczyniłam przed chwilą, przez miłość dla ojca, który nie wie o niczem i przez miłość i szacunek dla ciebie, który jesteś najszlachetniejszym z ludzi. Ale teraz gdy idzie o twoją siostrę, powierzoną mojej opiece, o to czyste i niewinne dziecię, z którego czystości i niewinności skorzystano, aby natchnąć je nieposłuszeństwem względem pana, niewdzięcznością dla mnie, teraz, muszę powiedzieć wszystko. Tak, byłam kochanką tego człowieka. Jakim sposobem dziewczyna taka jak ja mogła się poniżyć do tego stopnia, sama tego pojąć nie mogę. Myślałam, że jestem bohaterką! W wigilią owego pojedynku, z panem de Fulvières, w którym służyłeś pan za świadka, opowiedział mi o kłótni i jej następstwach. Nie mogłam oprzeć się chęci zobaczenia go, może po raz ostatni w życiu... nazwał mnie słodkiem żony imieniem. W obawie o jego życie, poświęciłam własne, a on nietylko, że wyszedł zdrów i cały z walki, ale jeszcze o mało co nie zabił uczciwego człowieka i porzucił mnie bez litości, jak podły i nikczemny człowiek!

Andrzej. Ciszej, na miłość Boską, mów ciszej!

Dyoniza. Eh! cóż mnie już teraz może obchodzić, czy mnie kto słyszy lub nie. Co warte moje życie po takiem wyznaniu? Jeżeli ojciec mnie usłyszy, tem lepiej, zabije mnie z pewnością, a to nie wielkie nieszczęście się stanie. To tylko dobrze, że dawniej nie domyślał się niczego. Cztery lata tłumię wszystko w sobie, cztery lata patrzymy na siebie z matką w milczeniu, nie mogąc odważyć się wspominać o przeszłości. Moja biedna matka posiwiała ze zmartwienia w przeciągu kilku dni. Ah! Boże! mój Boże!

(Rzuca się na krzesło i ukrywając twarz w dłoniach, gwałtownym wybucha płaczem.)

Andrzej. Bądź pani spokojną; tajemnicy twojej dochowam święcie.

Dyoniza. O! jestem tego pewną! Wiem, że mogę ufać honorowi pańskiemu. Ale to jeszcze nie wszystko; że mnie porzucił, to moja wina, miał nawet słuszność, że się ze mną nie ożenił. Wszystkie tak jak ja zawiedzione w swem zaufaniu, wiedzą o tem... Są jeszcze jednak na świecie poczciwi ludzie. Gdy moja matka napisała do swojej starej przyjaciółki, prosząc ją o radę i pomoc, przyjechała ona zaraz i zabrała nas ze sobą; biedny mój ojciec nie domyślał się niczego, sądził, że jestem tylko nieszczęśliwą i umierającą z rozpaczy. Jakżeby mógł podejrzywać córkę, którą tak uwielbiał, której zawsze dawał przykłady energii, prawości i uczciwości? Skończyłam już. A teraz kiedy pan wiesz wszystko, nie dasz przecie siostry temu człowiekowi? (Płacze, gniotąc machinalnie w ręku chusteczkę.)

Andrzej (obcierając również oczy). Ah! to okropne!

Dyoniza. Co? pan płaczesz? *dzięki ci za to.* Tylko moja matka i pan teraz podzielacie moją boleść.

(Podaje mu rękę i osuwa się w jego objęcia.)

Brissot (który wszedł przed chwilą, usiłuje panować nad sobą i mówi zwracając się do Dyonizy). Odejdź!

Dyoniza (upadając na kolana, zdaje się oczekiwać uderzenia). Ojcze mój!

Brissot (głosem głuchym i coraz groźniejszym). Idź precz! Idź precz!

(Dyoniza podnosi się z klęczek i z rozpaczliwym gestem biegnie ku drzwiom. Andrzej zastępuje jej drogę.)

Andrzej. Dokąd biegniesz?

Brissot. Przepraszam pana hrabiego, że tacy jak my ludzie ośmieliliśmy się przestąpić próg jego domu, ale ja o niczem nie wiedziałem. Może pan będziesz tak łaskaw odprowadzić tę pannę do matki. Dosyć już tych dramatycznych scen. Ja uporządkuję tymczasem wszystkie papiery, ażeby pan hrabia nie mozolił się nad szukaniem czego, gdy mnie już tu nie będzie. Idź, panie hrabio, idź już, proszę cię...

(Andrzej wychodzi z Dyonizą.)

SCENA VI.

Brissot sam, później Fernand.

(Scena niema, podczas której Brissot układa i porządkuje papiery. Widać iż z trudnością może zebrać myśli, gdyż raz po raz pociera ręką czoło. Nareszcie rzuca się na krzesło przy stole i ukrywając twarz w dłoniach płacze cicho. Po chwili nagłym ruchem podnosi głowę i biorąc pióro do ręki, kreśli na papierach rozmaite notatki. Fernand wchodzi a widząc go piszącego, nie zwraca na to uwagi, podchodzi natomiast do szufladki w której Marta miała schować swój pierścionek. Na szelest otwieranej i zamykanej szufladki, Brissot odwraca głowę.

Brissot. A! to ty!

Fernand (bierze do ręki książkę nie wiedząc co robić z sobą). Tak, to ja.

Brissot. Po co to przyszedłeś?

Fernand (widząc dziwną minę Brissota, przybliża się do niego). Co panu jest?

Brissot (wstając). I ty się o to pytasz? Ty coś hańbą okrył moją córkę?... Ah! ah!... (Chwyta Fernanda w objęcia i dusi go z taką siłą, że ten ledwo już oddycha.) Trzymałeś w twoich objęciach moją córkę, wydobądź-że się teraz z mojego uścisku! (Przewraca Fernanda na kanapę i przyciskając mu kolanem piersi, chwyta go za gardło; chcąc go udusić.) Nędzniku!

Fernand (zaledwie już tylko dosłyszalnym głosem). Nie bronię się, będziesz więc moim mordercą.

Brissot (puszcza go i podnosi z kanapy). Nie życzę sobie tego wcale. Idź, powiedz twojej matce, że jeśli w przeciągu godziny nie przyjdzie prosić mnie w twojem imieniu o rękę mojej córki, to gdziekolwiek będziesz, znajdę cię i zabiję. Idź teraz!

(Fernand wychodzi cofając się, Brissot zostaje i zaczyna chodzić po scenie z gorączkowym pośpiechem.)

KONIEC AKTU III-go.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYSTAWA PRZEMYSŁOWO-ROLNICZA

W WARSZAWIE.

Jak to już Czytelniczkom wiadomo, wystawa na placu Ujazdowskim została otwartą. Pod względem ilości wystawców, elegancyi i szyku w urządzeniu, przeszła ona wszelkie oczekiwania i na zwiedzających wywiera bardzo miłe wrażenie, szczególniej w dziale przemysłowym wzrok gubi się w rozmaitości linii i kształtów.

W krótkim stosunkowo czasie, na obszernym placu Ujazdowskim zbudowano miasteczko, o tyle jednak do naszych miasteczek niepodobne, o ile jest symetrycznie i elegancko zbudowane.

Jeżeli wejdziemy na taras (nawiasem powiedziawszy wcale nie wysoki) i rzucimy okiem dokoła, to będziemy mieli obraz następujący: plac Ujazdowski podzielony jest na dwie połowy. Pierwsza z nich (od strony miasta) poświęconą jest rolnictwu, właściwie zaś wystawie inwentarza żywego, drugą zajął całkowicie przemysł. Pierwsza formuje duży prostokąt, którego dwa boki zajmują stajnie, obory i chlewy, trzeci loże, a przestrzeń pomiędzy niemi zawarta jest areną, służącą za pole popisu dla ekwipaży i jeźdźców, którzy codzień w godzinach wieczornych występują na harce.

Druga część placu zabudowaną jest gęsto. Pomiędzy pawilonami i kioskami ustawionemi według z góry nakreślonegw planu, są ulice i uliczki, którym nawet nadano odpowiednie nazwy.

Zewnętrzna strona wystawy, jak powiedzieliśmy wyżej, nie pozostawia nic do życzenia, a dwie orkiestry: włościańska i wojskowa, przygrywają co wieczór.

W dziale rolniczym widzimy piękne bardzo okazy, konie angielskie, arabskie, normandzkie, ardeny, trakeny, a nawet jeden suffolk, krajowej zaś rassy bardzo niewiele. Bydło rogate również składa się z samych holendrów, szwyców, montafonów; są wśród niego także przedstawiciele rassy beru, oldenburskiej, algauskiej i krótkorogich shorthornów, krajowej zaś rassy jest tylko jedna krowa. Owiec dobór przepyszny, same elektoralne, rambouiletty i negretti, oraz kilka egzemplarzy Oxfordów.

Trzoda chlewna rass: lincoln, york i bercshire zaprezentowana w znacznej liczbie okazów, budzi podziw kształtami i obfitością tłuszczu. Niektóre egzemplarze są potwornie spasione. Po zatem jest jeszcze sporo psów, królików w różnych gatunkach i drób, o którym w przyszłem sprawozdaniu pomówimy bardziej szczegółowo, gdyż rzeczywiście zasługuje na to.

Tymczasem przejdźmy do drugiej części wystawy, do działu przemysłowego. Tu wystawcy silili się aby jak najwspanialej wystąpić. Jest sto kilkanaście pawilonów pięknych i kosztownych, a niektóre z nich odznaczają się bądź to artystycznym smakiem, bądź to oryginalnością pomysłu. Do najozdobniejszych należą: pawilon firmy Wasilewski i Pilaski, wzniesiony w pompejskim stylu, pawilony fabryki, Żyrardowskiej, Szeiblera z Łodzi, Poznańskiego, Rudzkiego, fabryki mebli giętych „Wojciechów" i wiele innych.

Najoryginalniejszym bezwątpienia co do pomysłu, jest pawilon Junga, właściciela kilku browarów w Warszawie. Pawilon ten zbudowany z samych beczek, zdobią u góry festony z wiszących butelek.

Jest także domek zbudowany z węgli kamiennych, pawilon z trypolitu, grota z gipsu. Na uwagę zasługuje także ozdoba wystawy, pawilon rybacki, uczonego naszego ichtyologa Girdwoynia. W tym pawilonie mieszczą się akwarya a w nich żywe okazy ryb krajowych i raków, oraz ryb morskich. Wszystkie przyrządy służące do rybołówstwa, okazy szkodników wodnych, sztuczne wylęgarnie zgromadzone zostały na to, aby wykazać jakie korzyści mieć można przy pracy z wód, które są w naszym kraju tak zaniedbane i eksploatowane nieumiejętnie.

Pawilon rybacki godnym jest widzenia i nic też dziwnego, że tłoczy się do niego mnóstwo osób.

W dziale przemysłowym również znajduje się pawilon barona Lessera, zawierający w sobie wszelkie przyrządy i narzędzia do gospodarstwa nabiałowego potrzebne; oraz centryfuga do odtłuszczania mleka, poruszana za pomocą kieratu, w którym chodzi para koni. Codziennie centryfuga jest w ruchu, a baron Lesser osobiście objaśnia znaczenie i użytek rozmaitych przyrządów. Dla gospodyń wiejskich wyborna to sposobność bliższego zapoznania się z postępowem gospodarstwem nabiałowem.

W pawilonie biura elektro-technicznego, Abakanowicza i S-ki, podziwiać można najnowszy wynalazek młodego naszego uczonego D-ra Juliana Ochorowicza, termomikrofon. Wynalazek ten, który zrobił wrażenie w kołach naukowych paryzkich, jest istotnie zdumiewającym, przenosi on głos z dokładnością zupełną, tak że w pawilonie na placu wystawy słychać doskonale muzykę i śpiew brzmiące w sali na rogu ulicy Marszałkowskiej i Pięknej.

Przemysłowcy i fabrykanci, którzy nie posiadają pawilonów własnych, umieścili swe wyroby w głównym pawilonie.

Jest-to ogromny budynek, a jednak ciasno w nim, tyle nagromadzono okazów. Tu codzień brzmią poważne tony organów, a pan Michałowski, głośny pianista daje koncerta na fortepianie Kerntopfa, wyrobionym tu w kraju. Wystawcy z Lublina mają oddzielny pawilon, składy i fabryki maszyn i narzędzi rolniczych pomieściły okazy w ogromnych budynkach, a zajęły także znaczną przestrzeń placu pod gołem niebem.

Od godziny piątej po południu, napływa znaczniejsza ilość zwiedzających. Artyści w burych sukmanach, w białych czapkach na głowach, wstępują na estradę i zaczynają wygrywać raźne oberki. Na arenie gra orkiestra wojskowa, zaczynają się gonitwy, wyścigi powozowe, konkursa dorożkarzy. Panowie wjeżdżają w szranki i rozpoczynają „steeple chase" przez płoty, rowy i mury. Loże zapełnia wytworna publiczność, stroje pań przynoszą zaszczyt magazynierkom. W torach słychać tylko język francuzki, na dowód, że jesteśmy w... Warszawie.

Nareszcie zapada zmrok. Lampy elektryczne jaśnieją pięknem, bladawem światłem, które od czasu do czasu drga i migocze, jakby chciało powiedzieć uczonym: „nie, panowie, nie poznaliście jeszcze gruntownie czego mi do życia potrzeba." Kominy lokomobil buchają dymem, zaimprowizowane fabryki pracują, a publiczność snuje się wśród tego wszystkiego i powoli opuszcza wystawę.

Na placu pozostaje tylko straż nocna i jaki taki robotnik z niedokończonego jeszcze pawilonu.

Ten zmęczony całodzienną pracą, rzuca się na ziemię, wyciąga zmordowane członki i patrzy z zadumaniem w niebo, na najpiękniejszą wystawę czystego lazuru, usianego milionami gwiazd złotych.

. . . .

Oto jest ogólny, w grubych szkicach rzucony obraz tegorocznej wystawy, o szczegółach zaś takich, które dla Czytelniczek naszych ciekawemi być mogą, pomówimy w następujących artykułach.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Kazimierza Jarochowskiego Opowiadania i studya historyczne. Serya nowa. Poznań 1884 r.

Spora ta książka zawiera dziesięć rozpraw lub monografii historycznych, do których treść zaczerpnął autor z dziejów końca XVII i początków XVIII stulecia; jeden tylko szkic ostatni sięga końca zeszłego wieku.

Gruntowność wszystkich tych prac, wykonanych przez znanego na niwie historycznej pracownika, nie ulega żadnemu zarzutowi, ale nie wszystkie mogą być ponętnemi dla szerszych kół czytelników, już to dla swej drobiazgowości zbyt specyalnej, już to z powodu stylu, poważnego wprawdzie ale niekiedy surowego i nieco ciężkiego. Cenny to jednak trud i sumienny, dla badaczów i miłośników przeszłości, bezwarunkowo ważny, a dla ogółu w wielu razach pouczający; zasługuje więc na to, aby tu w krótkich słowach zapoznać czytelników z jego treścią.

Pierwszy szkic p. n. „Odsiecz wiedeńska" jest opowiadaniem naukowem, historycznem, o tym fakcie tak wielkiej doniosłości. Tyle bowiem już mamy opowieści o oswobodzeniu Wiednia i spółczesnych, pamiętnikowych, popularnych i poetycznych lub powieściowych, że pod względem faktycznym trudno byłoby znaleźć jaki ważny a nowy szczegół w opowiadaniu pana J., o tej świetnej karcie w dziejach Jana III.

Nie o to też chodziło autorowi, ale raczej jak wspomniałem, o przedstawienie dziejów wyprawy wiedeńskiej naukowe, specyalnie historyczne, to jest w związku ze spółczesnemi wypadkami w innych krajach Europy, o odszukanie i wykazanie tych ogniw oraz sprężyn i bodźców, które w wypadkach dziejowych łączą się, działają i oddziaływają nieraz z wielkiej odległości i w dłuższych odstępach czasu. Niepodobna tu nam rozważać dochodzeń autora w tym przedmiocie; powiemy jednak słów kilka o drugim, ciekawszym dla nas artykule pod tytułem „Wyprawa wiedeńska ze stanowiska interesu politycznego Polski", który stanowi uzupełnienie poprzedniego i składa razem z nim jedną całość. Otóż tu nasz autor zbija stanowczo utrwalony i powszechnie prawie dotychczas panujący sąd o Sobieskim, jako dzielnym wprawdzie wojowniku, ale słabym polityku. Wyraźna już wkrótce po wyzwoleniu Wiednia niewdzięczność cesarza Leopolda, a bardziej jeszcze postępowanie Austryi w roku 1772 i później utrwaliły i podsycały tę niechęć dla polityki Jana III, któremu niemal złorzeczono za to, że ocalił od zagłady stolicę austryacką. Wiadomo było nadto

że przed wyprawą Sobieski trzymał się polityki francuzkiej i wiązał się z Ludwikiem XIV, wrogiem Austryi; zwrot zaś w polityce Jana III-go przypisywano głównie wpływowi królowej, obrażonej na Francyą z pobudek osobistych, a ujętej darami przez stronę przeciwną. Pan J. potwierdzając ostatnie przekonanie, wykazuje nadto faktami i logicznemi wnioskami, że Jan III nie mógł postąpić inaczej, że wprawdzie śpiesząc na odsiecz Wiednia zaniedbywał inne, ważniejsze widoki, jak osłabienie Austryi i elektora brandeburskiego, ale do tego był zmuszony przez spółczesnych. Autor nasz sądzi, że Sobieski był równie dobrym politykiem jak wojownikiem, że nawet „daleko sięgał w przyszłość", że chciał uczynić wiele, ale nie mogąc, uczynił to przynajmniej co mógł, złamał potęgę Turków, którzy należeli także do liczby odwiecznych wrogów Polski.

Pięć następnych artykułów ściąga się swą treścią do wielkiej wojny północnej ze Szwedami za Augusta II-go, okres to dziejów naszych, któremu ze szczególnem zamiłowaniem poświęca pan J. swoje badania.

Opowiada tu więc szczegółowo wypadki owej wojny z lat 1704 do 1709. Z artykułów tych najwięcej zasługują na uwagę dwa: „Wielkopolskie, Leszno w roku 1707" i „Stanisław Leszczyński po Połtawie". W pierwszym przedstawione są dzieje miasta, należącego niegdyś do rodziny Leszczyńskich, a zwanego dziś przez Niemców Lissa, a szczególniej dwa ważne w tych dziejach momenta: zajęcie przez Szwedów i odebranie szturmem przez Polaków w roku 1656, po obronie, kierowanej przez słynnego pedagoga Komeńskiego, który tak źle odpłacił za gościnność, którą w Polsce znalazł. W artykule zaś o Leszczyńskim po porażce Karola XII-go na polach połtawskich, autor zupełnie słusznie prostuje rozpowszechnione, a przesadnie korzystne wyobrażenie o Stanisławie, który po dwakroć, a bardzo krótko królował w Polsce niedołężnie, wyniesiony obcą pomocą, a nie posiadając uzdolnienia do rządów ani do zachowania korony. Wiadomo, że przy końcu swego długiego żywota Leszczyński, zmuszony zrzec się tronu polskiego, otrzymał od swego zięcia Ludwika XV, króla Francyi, rządy księstwa Lotaryngii i zasłynął wtedy dobrocią, wspaniałomyślnością i szczodrobliwością.

Na tej więc zasadzie urobił się błędny sąd ogólny o tym królu, który posiadał wprawdzie zawsze dopiero co wyszczególnione przymioty, ale tych nie starczyło dla monarchy polskiego w czasach tak burzliwych i ciężkich jak te, w których Leszczyński niespodziewanie został na tron wyniesiony: zbywało mu mianowicie na samodzielności, odwadze, wytrwałości i energii, a może i na patryotyzmie, skoro w trudnych okolicznościach, zamiast śmiało stawić czoło przeciwnikowi, uciekał się pod opiekę obcych bagnetów, któremi chętnie się zastawiał.

W jednym z dalszych artykułów p. n. „Stosunek Brandeburgii do Kościoła katolickiego", pan J. podaje sprawozdanie z jednego dzieła niemieckiego pod tym tytułem, prostując zarazem niedokładności autora niemieckiego i wyrzucając mu poglądy stronnicze oraz przekręcanie faktów. Rzecz tyczy się głównie położenia katolików w Prusach, za elektorów, począwszy od roku 1613, gdy ze względu na stosunki z Polską, wówczas jeszcze lennicze, elektor musiał dać katolikom równouprawnienie z protestantami, aż do czasów Fryderyka II-go, zwanego przez Niemców Wielkim. Ciekawy ustęp stanowią tu nadzieje stolicy apostolskiej i jezuitów, względem nawrócenia elektorów na katolicyzm, żywione jeszcze w roku 1701, gdy elektor Fryderyk starał się o przyznanie mu przez mocarstwa europejskie tytułu króla pruskiego. Papież i jezuici, łudząc się że nawrócą Fryderyka, popierali go w staraniach o koronę; elektor pomocą nie wgardził, ale gdy dopiął swego, wtedy już nikt nie łudził się możliwością jego powrotu na łono katolicyzmu.

W następnym szkicu autor mówi o dwóch najważniejszych, a pono nawet jedynych twierdzach dawnej Rzeczypospolitej: Poznaniu i Kamieńcu, które służąc niejako za przedmurza i klucze kraju, pierwszy od zachodu, a drugi od południa, znajdowały się zawsze w stanie jak najopłakańszym, do obrony niezdolnym. Ciekawy epizod stanowi tu opowiadanie o wzięciu Poznania przez rokoszan w r. 1716 i o sprawie, wytoczonej za to w Dreznie przeciwko Seidlitzowi i reszcie z załogi, której część skazano na śmierć za zdradę i stracono.

Ostatni artykuł odświeża pamięć zapomnianego kapitana, który zginął na rynku Kargowa, gdy nie chciał ustąpić przed wkraczającym oddziałem pruskim w r. 1793. Nie była to właściwie „bitwa Kargowska", bo dzieje o takiej potyczce milczą i nawet imię tej małej mieściny wielkopolskiej mało komu jest znane. Wypadek jednak, jak zapewnia autor, żyje dotąd w tradycyi miejscowej, z której czerpiąc, odświeżył go dla potomności, również jak nazwisko marnie poległego kapitana, który nazywał się Więckowski.

S. W.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Wystawa**, która w początku pomimo swej świetności nie cieszyła się wielkiem, pod względem materyalnym powodzeniem, obecnie odwiedzaną jest tłumnie. W ubiegłą niedzielę na placu Ujazdowskim znajdowało się z górą 40,000 osób. Baryera otaczająca arenę, na której odbywają się konkursa powozów i wyścigi, pękła i fala ludu znalazła się wśród areny. Nie obyło się przytem bez epizodów komicznych i bez plagi warszawskiej to jest kieszonkowych złodziei, których wszędzie bywa pełno gdzie jest większe zebranie publiczne.

Ruch się cokolwiek ożywił, piękniejsze okazy koni i bydła rogatego znajdują nabywców, szczególny jednak popyt ma trzoda chlewna i drób pani Ryxowej z Prażmowa. W pawilonach przemysłowych panuje także ożywienie, a budynek w którym się mieści termomikrofon Ochorowicza, jest w oblężeniu.

*** **Mapa poglądowa.** Redakcya „Inżynieryi i Budownictwa" wydała nakładem swoim mapę poglądową Królestwa Polskiego, ułożoną przez panią Jadwigę z Zakrzewskich Wojcicką. Mapa doskonale odbita w litografii Główczewskiego w Warszawie przedstawia sposobem poglądowym całe Królestwo Polskie pod względem etnograficznym, historycznym, rolnym, leśnym, górniczym, przemysłowym, komunikacyjnym, pod względem hodowli zwierząt domowych, gospodarstwa rybnego, sieci kolei żelaznych, ważniejszych dróg bitych i hydrografii, z oznaczeniem punktu spławności rzek w granicach Królestwa znajdujących się. Słowem, mapa rzeczona podaje wyczerpującą charakterystykę każdego zakątka kraju, rozszerza i ułatwia poznanie takowego, oraz ujawnia wiele anomalii w prowadzeniu gospodarstwa narodowego.

Pani Wójcicka podjęła ciężką i mozolną pracę, kilka lat czasu strawiła nad tem przedsięwzięciem, studyując starannie wszelkie źródła, jakie w ogólnej kartografii krajowej, w odnośnych pracach historycznych, statystycznych i etnograficznych znalazła.

Za taki ciężki a pożyteczny zarazem trud, należy się autorce wdzięczność szczera, gdyż na nią w zupełności zasłużyła.

*** **Pożar Grodna.** Okropny pożar nawiedził w zeszłym tygodniu miasto Grodno. Wybuchnął on 9 Czerwca, w mieszkaniu ubogiego stolarza, gdzie było mnóstwo wiórów i w ogóle materyału łatwo palnego. Trzeba nieszczęścia, że tego dnia był nadzwyczaj silny wiatr, ten właśnie roznosił płonące głownie i wióry na sąsiednie budynki, tak że pożar pokazał się naraz w kilku miejscach.

Straż ogniowa, oraz żołnierze konsystującej w Grodnie dywizyi piechoty, zaczęli tracić siły i głowę, gdyż niewiadomo było w którą stronę zwracać ratunek.

Tu zalewają ogień, a w drugiem, trzeciem, czwartem miejscu wiatr roznosi głownie i wciąż nowe budynki zapala.

Powiadają świadkowie nieszczęścia, że ten straszny, szalony, niepohamowany pożar był istnym obrazem dantejskiego piekła. Przerażenie ogarnęło wszystkich mieszkańców. Widząc że siły niepewne nie podołają zadaniu, zarząd miasta zatelegrafował po straż ogniową do Białegostoku i do Wilna zkąd natychmiast pospieszono na ratunek, ale niestety, napróżno. Przez dwadzieścia kilka godzin z rzędu, przez całą dobę blizko, szalał ogień i przez ten czas dwie trzecie Grodna zamieniło się w bezładną kupę rumowisk i zgliszczy. Mieszkańcy bez dachu nad głową, bez schronienia i chleba obozują pod gołem niebem. Zaraz po ugaszeniu ognia zawiązano komitet pomocy dla nieszczęśliwych pogorzelców. W komitecie tym złożonym z obywateli i urzędników prezyduje pan wice-gubernator grodzieński.

Sąsiednie miasta: Białystok, Wilno a i Warszawa nawet, pospieszyły z doraźną pomocą; jakiejżeż to jednakże pomocy potrzeba, aby powetować straty mieszkańcom, wynoszące do pięciu milionów rubli... Mieszkania podrożały bajecznie, żądają za nie dziesięć razy większej sumy nad dotychczas praktykowaną.

Wiele rodzin (rozumie się takich, które mają za co), opuszcza Grodno i szuka schronienia gdzieindziej, rozpacz zaś ubogich pogorzelców nie ma granic.

*** **Fatalną dla rolników** była noc z 11 na 12 b. m. Przymrozek nader ostry, prawie mróz, zwarzył zupełnie łodygi i liście kartofli, tak że zachodzi poważna obawa co do urodzaju tej tak pożytecznej rośliny, bardzo słusznie „chlebem ubogich" nazwanej. Fatalny ów przymrozek przyszedł akurat w chwili kwitnięcia żyta i nie ulega kwestyi, że na plon wywrze wpływ szkodliwy. Jarzyny również ucierpiały mocno, a delikatniejsze rośliny w ogrodach, jak: fasola, ogórki etc. na wpół przemarzły.

Niewesoło dzieje się w polu, a owocem tego będzie znowuż drożyzna, fatalny to wyraz dla ludzi ubogich.

*** **Ś. p. Florentyna Niewiarowska.** W ubiegły poniedziałek odprowadziliśmy na cmentarz Powązkowski zwłoki młodej, utalentowanej i wiele na przyszłość obiecującej autorki, Florentyny Niewiarowskiej. Napisała ona kilka udatnych utworów, od-

znaczających się barwnością stylu i rzewnem lirycznem uczuciem. Z pomiędzy nich zasługują na uwagę: „Czarny pierścionek" (drukowane w „Echu"), oraz „Na dnie jeziora" w „Kuryerze Warszawskim").

Córka literata i artystki, siostrzenica utalentowanego dramaturga i poety, Karola Brzozowskiego, już niejako we krwi miała zamiłowanie do sztuki i piękna w ogóle. Bezwątpienia byłaby rozwinęła swój talent na pożytek literatury ojczystej, lecz nieubłagana śmierć zabrała ją z tego świata w wiośnie życia.

Skromna trumienka spoczęła na Powązkowskim cmentarzu, życzliwe dłonie rzuciły na świeżą mogiłę garść kwiatów i cicha pracownica legła w ziemi na zawsze.

Nich jej ta ziemia lekką będzie.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Wiktor Hugo** pozostawił po sobie dwa testamenta, pierwszy dotyczy majątku poety i czyni jeneralnemi jego spadkobiercami wnuki: Jerzego i Janinę Hugo, z uwzględnieniem obłąkanej córki Adeli Hugo.

Drugi testament zawiera rozporządzenia dotyczące spuścizny literackiej poety, która wynosi prawdopodobnie około 10 tomów. Rękopisma dzieł już wydrukowanych, oddane być mają, stosownie do woli zmarłego, bibliotece narodowej w Paryżu.

*** **Zapis.** Pani Teofila Łukowska, rodem z Warszawy, od lat kilkudziesięciu zamieszkała w Rumunii, złożyła na ręce marszałka krajowego Galicyi 20,000 franków, jako fundusz, od którego procenta mają być wypłacane corocznie dwom osieroconym panienkom, zamierzającym kształcić się w zawodzie przemysłowym lub gospodarskim.

*** **Najmniejszą osobą w świecie**, jest miss Łucya Zanata, karlica, zwana „żywą lalką" a obecnie zamieszkała chwilowo w Nowym-Yorku.

Odwiedzają ją tłumy. Miss Łucya stojąc na marmurowym stole, w pośrodku wielkiego salonu, przyjmuje odwiedzających z wielkim wdziękiem i godnością i uprzejmie odpowiada na komplementa swoich wielbicieli.

Malutka ta osóbka waży 14 i trzy czwarte funta i ma wysokości 26 i pół cali.

Ma przytem wielkie zamiłowanie do strojów, posiada 360 tualet i przebiera się po trzy razy na dzień.

Co prawda, materyał na suknię nie kosztuje ją zbyt drogo, jeden metr jedwabiu albo aksamitu wystarcza dla niej na suknię z trenem.

Podobno Miss Łucya jest przytem dość inteligentną osóbką i chętnie lubi rozmawiać o poważnych przedmiotach.

*** **Autograf Szekspira** odnaleziony został w Chicago, przez Ginthera, w egzemplarzu miejscowego drugiego wydania dzieł Szekspira, który to egzemplarz przed 200 laty, był własnością duchownego Jana Ward.

Autograf „William Shakespeare", przyklejonym jest na drugiej stronicy książki.

OD REDAKCYI.

☞ **Tom piąty pism Alberta Wilczyńskiego, za miesiąc Maj już wyszedł i obejmuje:**

FOTOGRAFIE SPOŁECZNE:

Przegrana sprawa. — Pan komornik. — Intromisya lekarza.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom kop. **60**; za tomów 12 rs. **7** k. **20**

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom kop. **70**; za tomów 12 rs. **8** k. **40**

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom rs. **1** k. **20**; za tomów 12 rs. **14** k. **40**

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom rs. **1** k. **30**; za tomów 12 rs. **15** k. **60**

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY

CZASOPISMO

Poświęcone sprawom wychowania szkolnego i domowego.

N-r 11 wyszedł z druku i zawiera:

1. Bądźmy ostrożni, kształcąc umysł dziecka w pierwszej jego epoce, przez Stanisława Berżańskiego.
2. August Jeske i jego podręczniki, przez S. W.
3. Z Metodologii Matematycznej: I. Liczby ujemne, przez S. Dicksteina.
4. Zachęcajmy młodzież wiejską do hodowli drzew, przez Henryka Wernica.
5. Cyrus Peirce, Dyrektor pierwszej wyższej szkoły żeńskiej w Ameryce, przez T. J. P.
6. Krytyka i bibliografija:

a) Historyja wieków średnich, wyłożona sposobem elementarnym przez Tadeusza Korzona, z dołączeniem 4 map kolorowych i 4[illegible] rysunków i tablic genealogicznych. b) Stanisław Rudnicki. Kilka uwag dotyczących nauki trygonometryi w szkołach średnich. c) Zarys nauki gimnastyki szkolnej i towarzyskiej. Skreślił Antoni Durski. d) Lehrproben und Lehrgänge aus des Praxis der Gymnasien und Realschulen. Halle a S. Verlag der Behandlung des Waisenhauses. e) Ernst Christaller. Ueber unser Gymnasialwesen. f) Dr Freiherr Arthur von Soden, Prof. Die Einflüsse unseres Gymnasium auf die Jugendbildung. g) G. M. Pachtler, S. I. Die Reform unserer Gymnasien. h) G. Hasemann. Die Ueberbürdung der Schüler.

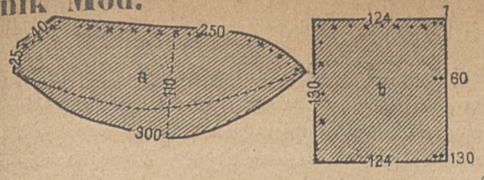
7. Rozmaitości:

a) Doroczne publiczne posiedzenie Akademii w Krakowie. b) Kasa imienia Mianowskiego. c) Ofiary na rzecz kolonii letnich. d) Kolonie wakacyjne w Galicyi. e) Nauka jąkałów. f) Szkoły w Indyach Wschodnich.

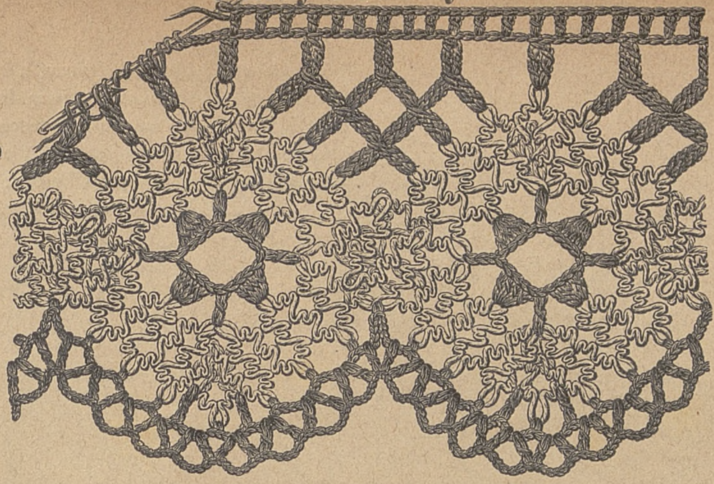
☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Іюня 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26)

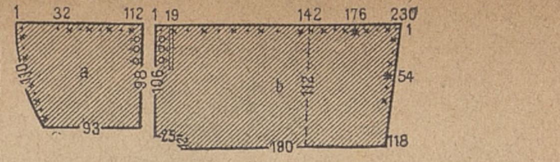
Dodatek.



N. 1. Wymiar tuniki do ryc. 22 i 29.



N. 3. Koronka szydełkowa z torsadką.

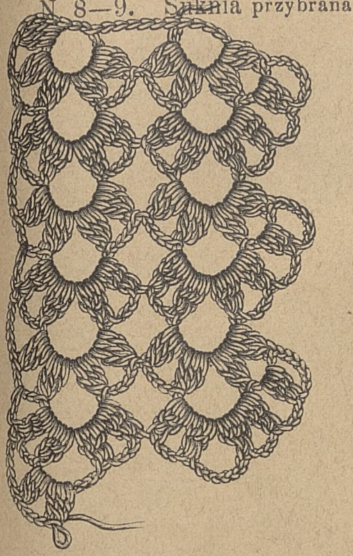


N. 2. Wymiar tuniki do ryc. 25—26.

Opis do N-ru 25.

(Dokończenie.)

N. 8—9. Suknia przybrana koronką.



N. 4. Ząbki szydełkowe robione poprzecznie.

Suknia letnia z deseniowego perkalu i żółtawej koronki, jaką przedstawia ryc. 9, może być odrobioną i z droższego materyału. Fałdowane i podpięte pokrycie spódnicy wymaga kawałka materyału 95 cent. długiego a 425 cent. szerokiego, u dołu przestębnowanego w obrąbek 3 cent. szeroki. Najpierw układa się materyał od lewego boku w płaską kontrafałdę, przyczepioną przez całą długość środkiem przodu sukni, jak to wskazuje ryc. 9, dalej składa płaskie fałdy i przymarszcza je w górze, odpowiednio do objętości paska, a brzeg boczny prawy, w górze trochę zaokrąglony, marszczy i podpina w górze podług ryc. 8 i 9. Prawa połowa przodu zagarnirowana jest falbanami koronkowemi. Na staniku zapiętym na kryte haftki, dane przybranie z koronki, zwężone bawetowo.



N. 6. Sukieneczka dla dziecka. Patrz ryc. 5, 15 i 36.



N. 7. Przód do ryc. 2 w N. 24.

N. 10—11. Bluzki do ubrania podróżnego.

Praktyczne dopełnienie ubrania domowego lub podróżnego w gorące dnie letnie stanowią bluzki używane przy jakiejkolwiek spódnicy. Podszewkę dopasowywa się gładko, podług formy dobrze leżącego stanika, wierzch zaś z satynki, bastu, surah lub t. p. przymarszcza się albo zaszywa w zakładki. Dwa ładne modele bluzek z paskami dajemy na ryc. 10 i 11; na tej ostatniej zasługuje na uwagę rękaw sfałdowany u dołu i zakończony falbanką.



N. 10—11. Bluzki do ubrania podróżnego.

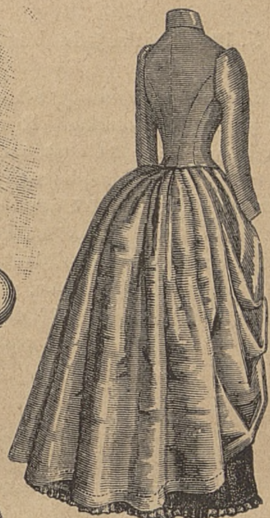
N. 12. Ubranie podróżne z podwójną spódnicą.

Patrz ryc. 16 w N. 24.



N. 5. Ząbki szydełkowe i tło robotą tkacką do ryc. 6.

Materyał zwany loden i alpaga w dwóch cieniach popielatych lub piaskowych, są najwłaściwsze na ubrania podróżne. Zwierzchnia spódnica z jaśniejszego materyału kraje się o 12 cent. krócej niż spodnia, (z którą wszywa się w jeden pasek), układa się wokoło w równe płaskie fałdy, a z lewego boku wysoko podpina, zebrawszy fałdy do 32 cent. odstępu od dolnego brzegu, zastębnowanego kilkakrotnie w obręb 10 cent. szeroki. Stanik skośnie z boku zapięty, z baskiną ściętą w zęby, ostębnowany jest wokoło brzegów tudzież kilkakrotnie na kołnierzyku i mankietach.



N. 8. Plecy do ryc. 9.

N. 16. Kapotka słomkowa.

Fasonik z oliwkowo bronzowej słomki ma rondko podszyte bronzowym aksamitem; końce do wiązania dane z bronzowej wstążki ottoman 8 c. szerokiej. Zwierzchnie przybranie stanowi koronka wełniana 8 cent. szeroka, przerabiana złotem, i bukiet kwiatów do cieniu bronzowych i oliwkowych.

N. 17 i 30. Kapotka jedwabna dla małej dziewczynki.

Odrobiona z żółtawo białej materyi ottoman i przybrana koronką jedwabną 5 cent. szeroką i 3 cent. szeroką wstążką atłasową. Na foremce petynetowej układa się materyę na tylnym brzegu główki (patrz ryc. 30) w dwie podwójne kontrafałdy, rozłożone do przodu



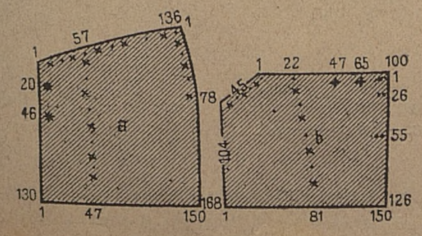
N. 12. Ubranie podróżne z podwójną spódnicą. Patrz ryc. 16 w N. 24.



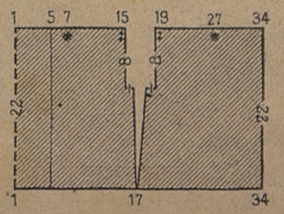
N. 9. Suknia przybrana koronką. Patrz ryc. 8.



N. 14. Gałązka haftem mossul, jako rzucik na serwety i t. p.



N. 13. Wymiar tuniki do ryc. 21.



N. 15. Wymiar kroju sukienki do ryc. 6.

w trzy kontrafałdy pojedyńcze, z boków zaś daje po jednej głębokiej płaskiej fałdzie. Rondko pokryte gładko materyą przysłonięte jest dwoma rzędami koronki, z których spodni jest mało a zwierzchni suto namarszczony. Koronka podpięta jest kokardą ze wstążki blado niebieskiej, przyszytą do paska 25 cent. długiego a 2 szerokiego. Zwierzchu dana kokarda z wstążki tego co materya koloru.

N. 20. Suknia z fałdowanym paskiem. Patrz ryc. 13 w N-rze 24.



N. 16. Kapotka słomkowa dla mężatki. N. 17. Kapotka jedwabna dla dziewczynki. P. r. 30.

Strojne ubranie letnie odrobione jest z etaminy piaskowej, takiegoż tiulu koronkowego i jasngo bronzowego aksamitu na kokardy, pasek i przybranie stanika. Rycina 13 w N-rze 24 przedstawia spódnicę, z przodu ułożoną w kontrafałdę pięć razy złożoną 31 cent. szeroką, bryty boczne mają wolant 20 cent. szeroki, sfałdowany w kontrafałdy, tylny bryt jest zaplisowany do 51 cent. szerokości. Draperyę przednią stanowią 2 bryty koronkowego tiulu, po 107 cent. długie, 172 szerokie; jeden bryt ma brzeg boczny i górny razem zmarszczony do 40 cent. szerokości, i przyszyty na spódnicy tak, aby zachodził 8 cent. po za środek przodu, drugi brzeg boczny spada gładko do tyłu. Drugi bryt koronkowy w górze zmarszczony do 30 cent. z brzegów spuszczony gładko, w środku podpięty jest podług ryc. 13. Tylne upięcie dane z bryta etaminy 53 cent. szerokiego, 360 długiego, z jednego boku w odstępie 150 cent. od góry podpiętego w pukiel zebrany aksamitnym węzłem, tworzący rodzaj kokardy, przypinanej następnie na haftki do stanika; dalsze podpięcie wskazuje ryc. 13 w N-rze 24; spada ono w dwóch puklach i dwóch końcach nierównej długości. Ubranie stanika bawetowego odznacza się nowym, oryginalnym układem paska, na który potrzeba dwóch skosów aksamitu po 18 c. szerokości, podszytych materyą i wpuszczonych w boczne szwy stanika o 10 c. powyżej wcięcia stanu, które następnie składają się w płaskie fałdy i krzyżują z sobą. Przody stanika mają zwierzchni materyał założony w płaskie fałdy, pod które wsuwają się brzegi koronkowej kamizelki, przyciśniętej aksamitnym plastronem.



N. 23. Szlafroczek forma princesse. Patrz ryc. 11—12 w N. 24. N. 24. Sukienka z vêtement dla panienki.

N. 21 i 13. Suknia z długą tuniką. Patrz ryc. 15 w N-rze 24.

Ryc. 13 daje wymiar dwóch brytów, składających tunikę do sukni przedstawionej na r. 21 w dzisiejszym i na ryc. 15 w N-rze 24. Jeden bok sukni zajmuje plisowanie w szerokie fałdy, ułożone z bryta naszytego 4 razy wstawką koronkową 10 cent. szeroką. U dołu sukni dany wolant skośny, 23 cent. szeroki, zaszyty w zakładki. Rycina 21 przedstawia suknię z gładkiego niebieskiego zefiru z tuniką w pasy różowe i niebieskie. Prawy bryt tuniki, oznaczony literą a na r. 13, przednim brzegiem sfałdowanym podług znaków do 15 cent., przyszyty jest z przodu sukni tak, iż zachodzi trochę na bok, podług ryc. 21; brzeg górny do 57 założony w kilka płaskich fałd, dalej składa się w potrójną 8 cent. szeroką kontrafałdę. Od miejsca oznaczonego w górze przez 57 dają się wzdłuż bryta fałdy, skracające go do guzikami na sukni, rozchodzą się stopniowo szerzej do dołu; przednia połowa draperyi (patrz część a na r. 2) jest z prawej strony zfałdowana do 76 cent. u góry zaś ułożona podług znaków. Tylny bryt b z prawego brzegu poniżej gwiazdki założony jest w fałdę, wyżej zaś, pasując 82 cent.; tylny brzeg podpina się w pukiel złożony gwiazdką do gwiazdki. Górny brzeg lewego bryta b, zachodzącego na wierzch, jest w jednym rogu ścięty skośnie do 45 c. i sfałdowany do 10 c. szerokości, dalej od 1 do 45 spuszczony w pukiel, drugi pukiel składa się od krzyżyka do krzyżyka, a materyał zbywający między puklami fałduje i wszywa w pasek; podpięcie środkiem bryta dane podług ryc. 15 w N. 24. Stanik bawetowy z tyłu zapinany, zdobny upięciem z chusteczki koronkowej.



Ubrania strojne letnie.

N. 20. Suknia z fałdowanym paskiem. Patrz spódnicę na ryc. 13 w N-rze 24. N. 21. Suknia z długą tuniką. Patrz ryc. 13, tudzież ryc. 15 w N-rze 24. N. 22. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Patrz ryc. 29.



N. 18. Kapelusik słomkowy dla dziewczynki. N. 19. Kapotka z haftowaną główką dla mężatki.

N. 22, 29 i ryc. 1. Ubranie z kaftanikowym stanikiem.

Rycina 22 przedstawia strojne letnie ubranie, odrobione z materyi w dużą kratę czerwonawo lila i z białego materyału loden. Na spódnicy dany szeroki wolant skośny, suto namarszczony; draperyę przednią kraje się podług miar wypisanych na ryc. 1 pod literą a; górny brzeg układa się w fałdy, zostawiając na środku odstęp gładki i wszywa w pasek; brzegi boczne lekko sfałdowane wpuszczone są w boczne szwy spódnicy a brzeg dolny, podwinięty podług linii kropkowanej i trochę przymarszczony przyszywa się okrągławo na sukni. Tylny bryt b, z lewego brzegu bocznego podpięty do 60 cent. długości, z prawej strony tworzy dwa pukle. Plecy stanika przedłużone w fałdowane karoczko, przody zapięte jednym tylko guzikiem, szeroko rozchodzące się u dołu, dopełnione są bufowaną kamizelką z materyi w kratę, zapinaną środkiem na kryte haftki, wszytą w kołnierzyk stojący, 4 cent. szeroki. Stanik ma wykrój podłużny, dopełniony wykładanym kołnierzem z tego samego materyału; na rękawach wykłady 7 cent. szerokie z materyi w kratę.

N. 24. Sukienka z vêtement dla dziewczynki.

Wolant 35 cent. szeroki, plisowany w fałdy 4 cent. szerokie, zakończa spódniczkę; vêtement z boku zapinane, ma przy połowie przodu zachodzącej na wierzch dodany na szerokość materyał, dla założenia trzech fałdów; do podszewki przyszyta 3 cent. szeroka listewka z dziurkami do zapinania na kryte guziczki. Przody fałduje się z boków podług r. 24, a plecy krajane na długość zwykłej baskiny dopełnione są brytem 45 cent. długim a 80 szerokim, sfałdowanym u góry i z wstążki atłasowej 4 cent. szerokiej.

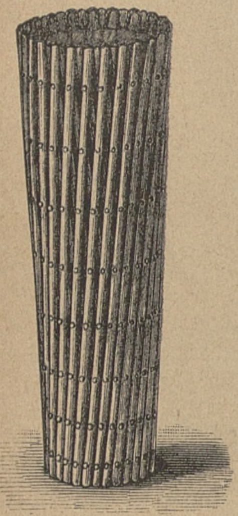
N. 25—26. Ubranie podróżne z paletocikiem. Patrz ryc. 2. Krój paletocika jak do ryc. 12. w N-rze 18 Tyg. Mód.

Model odrobiony był z materyału w drobną kratkę i gładkiego aksamitu na spodnicę; skromniejsze ubranie podróżne można mieć z gładkiego materyału wełnianego. Krój paletocika zastosować można podług formy pomieszczonej na arkuszu do N. 18 gładkie brzegi tuniki, przypięte

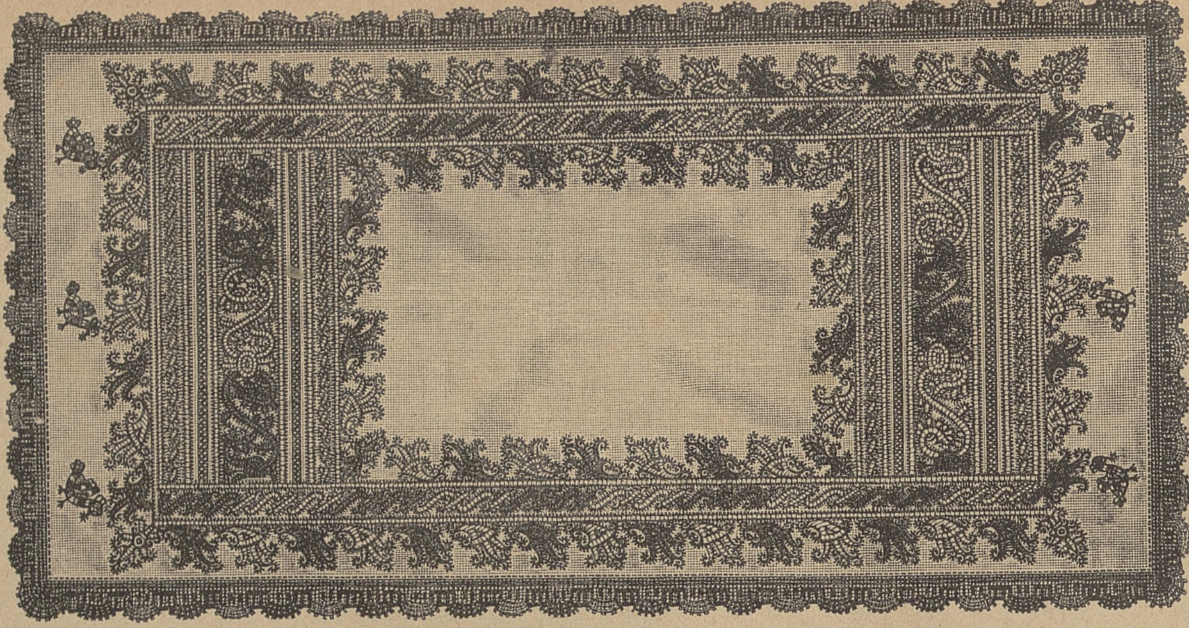


N. 25—26. Ubranie podróżne z paletocikiem. Patrz ryc. 2. Krój paletocika jak do ryc. 12 w N-rze 18.

gwiazdką do gwiazdki, wraz z górnym brzegiem sfałdowany jest w podwójną, 13 cent. szeroką kontrafałdę, po za którą dane do środka dwie płaskie fałdy a reszta górnego



N. 28. Kosz na drobiazgi zsunięty. Patrz ryc. 37.

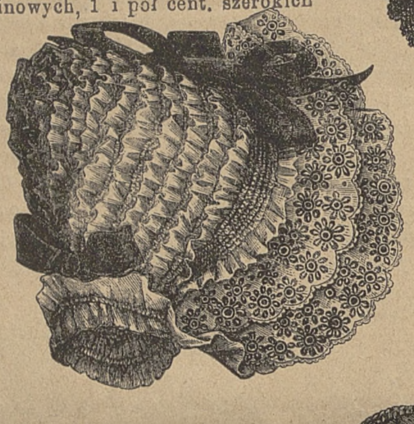


N. 27. Serweta haftowana. Patrz ryc. 39, tudzież ryc. 17 w N-rze 24.

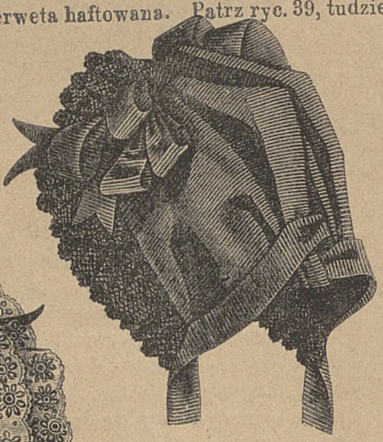
brzegu złożona w potrójną kontrafałdę, 16 cent. szeroką.

N. 28 i 37. Kosz na drobiazgi.

Dający się dowolnie zsuwać lub rozsuwać, składa się z pręcików trzcinowych, 1 i pół cent. szerokich a 65 długich, łączonych z sobą zapomocą sztyfcików lub maleńkich śrubek. Rozsunięty w ten sposób jak go widzimy na r. 37 liczy 60 cent. wysokości, 194 obwodu w górze a 162 u dołu; średnica dna wynosi 46 cent, górnego otworu 60 cent. U góry, w pośrodku i 3 cen. od dolnego brzegu, rozciągnięty jest sznur, przymocowany do pręcików, który służy następnie do przyczepienia materyału, pokrywającego wnętrze kosza i przedłużonego u góry w woreczek 34 cent. długi, ściągany na sznur kolorowy.



N. 31. Kapelusz ogrodowy ze śpiczastą główką.



N. 30. Kapotka dla dziewczynki. Patrz ryc. 17.



N. 33. Koszyczek do kluczy. Patrz ryc. 38.



N. 32. Kapelusz ogrodowy z bufiastą główką,

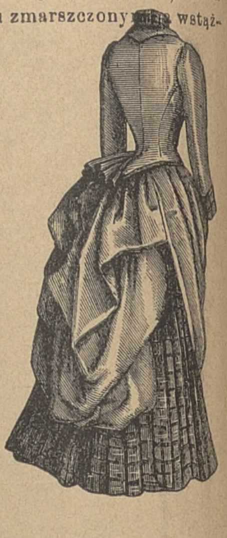
N. 31—32. Kapelusze ogrodowe z batystu.

N. 31. Kapelusz z wysoką główką.

Główkę ze sztywnego muślinu, stopniowo zwężającą się ku górze, pokrywa prosty kawałek żółtawego batystu, przemarszczany w bufki przedzielane nagłówkami 1 cent. szerokiemi. Rondko z przodu 11, z tyłu 5 cent. szerokie, daje się z podwójnie złożonego kawałka batystu odpowiedniej do rondka szerokości, 200 c. długiego, zmarszczonego na cztery druciki stopniowej długości, pierwszy od główki 57. brzeżny 92 cent. długi. Kolorowe haftowane falbanki pokrywają rondko z przodu, z tyłu zaś jest wywinięte podług ryc. 31. Kokardy z wstążki atłasowej.

N. 32 Kapelusz z bufiastą główką.

Batyst gładki żółtawy użyty na główkę, na rondko zaś w rzucik ponsowy i niebieski. Główkę daje się najpierw z podwójnego sztywnego tiulu i pokrywa batystem, u dołu z tyłu zmarszczony [...] wstążkę ponsową i niebieską, po 28 cent. długą z prawego boku związaną w kokardę. Rondko tak jak przy poprzednio opisanym kapeluszu dane z podwójnie złożonego batystu przemarszczonego na druciki, z których pierwszy dany w odstępie $1 \frac{1}{2}$ cent. od brzegu (wydzierganego w ząbki) liczy 82 cent., drugi 66, trzeci 50 a czwarty 32 cent. długości. Z przodu dana kokarda z kawałka odzierganego batystu, 19 c. szerokiego, 75 długiego.



N. 29- Plecy do ryc. 22.

N. 33 i 38. Koszyczek do kluczyków.

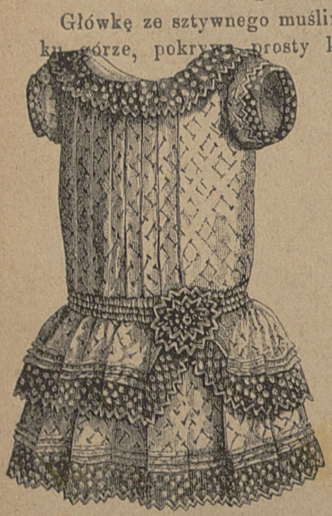
Mały koszyczek 7 cent. długi, 10 cent. szeroki, wykrawa się z grubej sztywnej skóry i zszywa wązkim rzemyczkiem. Wnętrze powleczone kolorewym atłasem, wierzchnie pokrycie stanowi safian zdobny deseniem zdzieranym, przedstawionym na ryc. 38. Przy ściankach podłużnych od środka dodane kieszonki, lekko namarszczone na elastykę.



N. 34. Szlaczek haftowany złotem.

N. 35. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki.

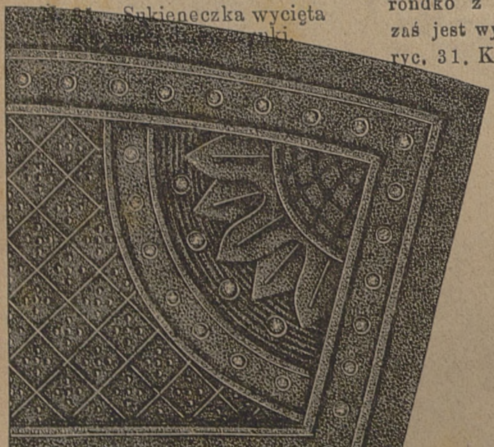
Zapinana z tyłu na guziczki, uszyta z kretonu i zdobna szlaczkiem 4 cent. szerokim. Na dobrze dopasowanej gładkiej podszewce staniczka, materyał zwierzchni układa się w fałdki przy wykroju szyi a na 9 c. od dołu kilkakrotnie przemarszcza. Długość środkowa przodu i pleców, licząc bez zakładek danych u dołu, wynosi 32 cent., szerokość dolna przodów 85, pleców 63 cent. Spódniczka 155 cent. obwodu mająca, 17 cent. długa, zakończona zakładkami i szlaczkiem, przyszywa się po sfałdowaniu do brzegu podszewki. Brzeg dolny stanika podpięty z lewego boku rozetą.



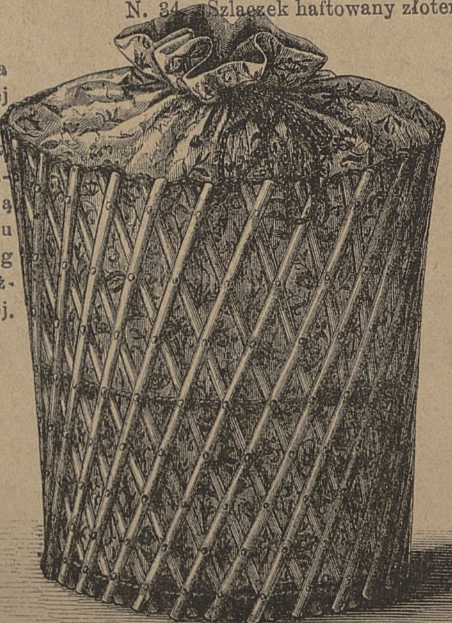
N. 35. Sukieneczka wycięta [...]



N. 36. Plecy do ryc. 6.



N. 38. Połowa deseniu zdzieranego na safjanie,



N. 37. Kosz na drobiazgi, rozsunięty. Patrz ryc. 28.



N. 39. Desenik do ryc. 27.



Pl. 614.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.